

Z walk wrześniowych Armii „Poznań”

NAD BZURĄ w szesnastym dniu wojny

Było to 16 dnia wojny: Armia „Poznań”, dowiedziona przez generała Kutrzebę, została otoczona przez niemieckie armie pancerne. Na pole walki przybył nawet sam Hitler. Niemcy nie spodziewali się już większego oporu, stali pod Warszawą, przekroczyli Wisłę w wielu punktach, gdy uderzyła na nich maszerująca na odsiecz Warszawie, nienaruszona jeszcze w bojach Armia „Poznań”. Była to jednak mało ruchliwa masa piechoty i kawalerii; niemieckie dywizje pancerne dokonały manewru oskrzydłającego i ujęły w „kocioł” armię polską.

Nim Armia „Poznań” uległa — odniesiono wiele lokalnych zwycięstw. Jedno z nich zakończyło się rozgromieniem przez jedną z baterii lekkiej artylerii — pułku pancernego — „SS-Leibstandarte Adolf Hitler”.

Istnieją dwie relacje z tej bitwy: polskiego oficera, dowódcy 6 baterii artylerii lekkiej — kapitana Ludwika Głowackiego oraz porucznika armii niemieckiej, czołgisty Willi Reibiga. Pierwszy opisał tę bitwę we wspomnieniu pt. „Bateria walczy”, drugi — w książce wydanej w roku 1941 pt. „Czarni husarze”.

Oto wyjątki z obu relacji:

Zadanie i rzeczywistość

16 września, rankiem, otrzymałem rozkaz: „W dniu dzisiejszym 17 dywizja piechoty ma sforować Bzurę pod Sochaczewem. Na prawo naciera 14 dywizja, na lewo — 25 dywizja piechoty. I batalion 68 pułku naciera z podstawy wyściowej las i wzgórza Karwowa. 6 bateria 17 pułku artylerii stanowi bezpośrednie wsparcie tego batalionu”.

Powtarzam ten rozkaz i rysuję położenie na mapie. Koło lasu Zygmuntówka spotykamy piechotę, z umundurowania podobną do przysposobienia wojkowego. Zoinierze krzczą do nas: „W Ruskach Niemcy”. Udaje, że nie słyszę i ruszam kłusem. Boję się, żeby mi nie zdemoralizowali zwiadu. Na wszelki wypadek rozkazuję baterii dotrzeć na stanowisko trudniejszym dojazdem, pod osłoną lasu, aby ukryć się od strony Rusek. Wybieram stanowiska ogniowe. Daję rozkaz budowy linii telefonicznej i wskazuję kierunek. Po kilku sekundach patrol już pracuje. Po wydaniu rozkazów ruszam kłusem. Nagle padają strzały z karabinu maszynowego. Zza stogu obserwuję teren. Jest! Czołg niemiecki jedzie w kierunku Żdżary. Nie dalej jak 400 metrów pada celny strzał z broni przeciwpancernej naszej piechoty i — czołg nieruchomieje.

Wybieram punkt obserwacyjny i daję rozkaz zainstalowania w nim aparatu telefonicznego. Dom jest pod ostrzałem broni maszynowej. Trudno wyjrzeć zza muru. Dwa znane mi już czołgi stoją przy stertach zboża i strzelają do zabudowań. Na stoku widzę jakieś rozrzucone pstro kate kształty. Wyglądały na stado pasących się krów. Dziwi mnie tylko, że się nie poruszają. Nagle na tle folwarku Sokule wyrasta sześć czołgów. Strzelają do piechoty, która rozprasza się i kryje. Najwyższy czas otworzyć ogień...

Pierwsza seria. Leczą w tej samej chwili uwagę moją przykuło dziwne zjawisko. Z nagle ożyło całe przedpole. To nie krowy — to czołgi. Jestem spokojny. To nieważne, że zginęli. Chodzi o to, aby zniszczyć choć jeden, dwa czołgi nieprzyjacielskie — bo cóż mogę poczuć moją samotną baterią przeciw takiej potęg?

Pierwszy strzał leży w środku celu, tyle że za długi. Daję serię baterijną. Trafiam między dwie fale maszyn. Zmieniam celownik... Ogień

baterii trwa cały czas. Pociski są celne. Niektóre wybuchy wzniesają pożary. To płoną czołgi. Dym zakrywa całe pole i z braku wiatru utrzymuje się długo. Odstępy między czoł-

10 mało znanych wiadomości o Wrześniu

● 6 września 1939 r. do Wojska Polskiego zgłosiło się kilkadziesiąt ochotników irlandzkich.

● Mahatma Ghandi złożył w Berlinie uroczysty protest przeciwko bombardowaniu polskich miast.

● 5 września zakon kawalerii polskiej uderzył do Prus Wschodnich i zajął miejscowości Klarheim i Kowalewen.

● 12 września kobiety zdobyły na Woli nieuszkodzony czołg niemiecki.

● „Nie proszę Was o pomoc i ratunek dla tych 45 obywateli amerykańskich, którzy pozostali w Warszawie, ale wzywam pomocy dla bohaterów narodu polskiego” — nawołuje w apelu radiowym amerykański dziennikarz Bryan prezydenta Roosevelta w dniu 15 września 1939 r.

● 16 września prezydent Warszawy Stefan Starzyński odznaczył Srebrnym Krzyżem Zasługi z mieczami za odwagę okazaną w walce o Warszawę stróże z Żoliborza — Witkowską.

● 20 września poległ pod Warszawą niemiecki generał von Fritsch.

● Broń, w jaką były uzbrojone Robotnicze Bataliony Obrony Stolicy pochodziła w znacznym stopniu ze składów żydowskiej organizacji przysposobienia wojkowego. Przekazała ją dowództwu Obrony Warszawa lub żydowska działaczka dr Lublińska-Straslanowa.

● 27 września na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego Stolicy, któremu przewodniczył Stefan Starzyński, dwóch ludzi wypowiedziało się za kontynuowaniem walk: Stefan Starzyński oraz pułkownik dyplomowany M. Porwit, dowódca zachodniego odcinka obrony Warszawy, gdzie toczyły się najcięższe walki.

● „Ruiny i zgłiszczą Warszawy upoważniają mnie, abym w imieniu ludności zwrócił się z zapytaniem do rządów Anglii i Francji, kiedy odciągną Warszawę, kiedy udzielą jej pomocy? (Z odezwą radiową Prezydenta Stolicy Stefana Starzyńskiego do rządów sprzymierzonych z 13 września 1939 r.).

gami są coraz mniejsze i dochodzą do 6 metrów. Pomimo silnego ognia odległość między mną a czołgami stale maleje. Celownik już tylko 1600 i 1500*. Nagle między czołgami powstaje zamieszanie. Nie chcę wierzyć własnym oczom. Czołgi zwracają i uciekają...

Byłem później na poboju. Zniszczone czołgi niemieckie dawały świadectwo celności polskiej broni. Jedna bateria rozbiła pułk pancerny, niszcząc 22 czołgi. Ponadto nieprzyjacieli pozostawił na placu 50 motocykli. Tego dnia patrząc na śmieci w przyszłość, gdyż jeszcze raz zdobyliśmy pełne zaufanie do siebie samych i do naszych działań...

Pisze Niemiec Willi Reibig

Za dwiema stertami słomy jesteśmy poza widocznością nieprzyjaciela. Obserwuję las, ale niczego nie widać. Teraz zaczyna nasze sterty dymić i dym ten zastania im widok. Musimy więc i stąd odejść. Pociski wybuchają naokoło. Otacza nas kurz. Rozpoczyna się piekielna symfonia. Gorąca fala uderza mnie poprzez otwarty luk. Broń, pokrywa wieżyczki i wszelki sprzęt wirują w powietrzu łomocząc po czołgu. Tu nie ma co już ratować.

Śmierć zażądała ofiar, więc leżą najlepsi spośród mego plutonu i mojej kompanii pod Warszawą, koło Rusek, w Piotrkowie... „Ogłoszone pogotowie marszowe”. Tym razem nie chodzi o wymarsz w kierunku nieprzyjaciela, ale do naszych kolegów, którzy padli...

Dwa razy przesłuchiwał Niemcy Ludwika Głowackiego, wziętego do niewoli po kapitulacji Armii „Poznań”. Pierwszy raz — na rozkaz gen. Reichenau, dowódcy 10 armii niemieckiej — przesłuchiwał go w dniu 29 września sam SS-Obergruppenführer Sepp Dietrich i gen. Reinhardt, dowódca 4 dyw. pancerniej. Drugi raz przesłuchiwało go w Brunszliku w 1940 r.

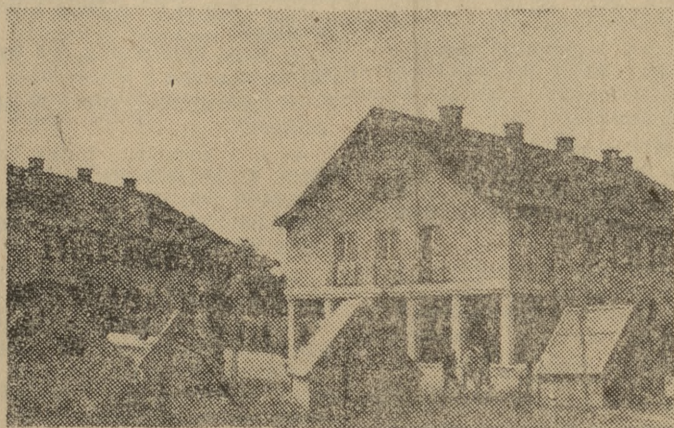
— Czy pan był mistrzem strzelania artyleryjskich armii polskiej?

— Nie — brzmiała odpowiedź. — Byłem przeciętnym oficerem...

Fragmenty wybrał i komentarem opatrzył

Ignacy GRZYBOWSKI

*) metrów od stanowiska oficera kierującego ogniem.



Obóz PTTK w Kamiennym Potoku jest największy w kraju. Oprócz dwu domów turystycznych na wzgórzu nad morzem stoją domki campingowe i mnóstwo namiotów. Ruch tutaj olbrzymi. „Bywa, że w pogodny, niedzielny dzień przepływa tędy do tysiąca ludzi” — mówi z westchnieniem kierownik obozowiska. Dlaczego z westchnieniem — o tym przeczytaj w artykule.

Fot. (3) autora

JUŻ OD CZERWCA ODBYWA SIĘ WIELKA WĘDRÓWKĄ POLAKÓW NA PÓŁNOC. Z KAŻDYM ROKIEM BAŁTYK ZYSKUJE SOBIE NOWYCH WIELBICIELI W POGODNE DNI TYSIĄCE NÓG BRODZI PO PIASKU, BYŁOBY PIĘKNIE, GDYBY WAKACJE NAD MORZEM OGRANICZAŁY SIĘ DO BEZTROSKEGO WYPOCZYNKU. NIESTETY TAK NIE JEST. I DLATEGO NIECO DZIWNY TYTUŁ NASZEJ KORESPONDENCJI ZNAD MORZA.



MOŻE, NASZE MOŻE...

Obsycałem powolutku na piasku, doskonale zapomniałszy o Poznaniu i redakcji, i obserwowałem malutkiego chłopczyka, budującego twierdzę na brzegu. Chłopczyzna spieszył się, z wywieszonym językiem ubijał piąstkami piasek, ale cóż — nadchodziła fala i beztrósko zmywała całą jego robotę.

Coś bardzo podobnego widziałem w Kamiennym Potoku. Z tą różnicą, że w roli chłopca występowało kierownictwo obozu turystycznego PTTK.

Jest to podobno największe obozowisko w kraju. Dwa duże domy — schroniska, przeszło trzydzieści 3-osobowych domków campingowych, oraz pięćdziesiąt kilka dwuosobowych namiotów. Do tego dochodzą turyści rozbijający własne namioty i liczne rzesze wycieczkowiczów, które już nie nocują, ale przychodzą jeść. Tak to już bowiem dziwnie się składa, że przeciętny obywatel przeciętnie trzy razy dziennie odczuwa ssanie w dółku.

W PTTK w Kamiennym Potoku sala konsumpcyjna rozporządza ok. 30 stolikami. Obsługują 2 kelnerki. W suterenie jest jeszcze czynne okienko samoobsługi.

W pogodny dzień fala wycieczek napływa za falą. Wczasy wędrownie, wycieczki krajowe i zagraniczne. Fala atakuje małą kuchnię jednego z Gdynią i Gdańskiem nadmorskiego schroniska PTTK, kierownictwo usiłuje gorączkowo poradzić coś; oczywiście nie daje rady, ludzie są głodni i źli. Słońce słońcem, morze morzem, ale jeść trzeba. Proza żołądka zwycięża bezapelacyjnie poezję Bałtyku.

Zwłaszcza, że posiłki wcale nie są poetyczne. Istnieje takie niepisane prawo, przestrzegane surowo przez FWP i PTTK, niezależnie od pory roku i położenia geograficznego. Na śniadanie podaje się zupę mleczną, potem ser. Czasem ser zastępuje marmolada, cza-

sem jajka, czasem jakaś kiełbasa. Kolacja tym różni się od śniadania, że zamiast zupy jest płyn, noszący dumne miano herbaty. I na tym kończy się pomysłowość braci Lechitów spod znaku FWP i PTTK. Odwieczny ser, odwieczna marmolada, jajka i kiełbasa też jest odwieczna. Czasem nawet dosłownie...

Wybaczenie, że uczepiłem się tej właśnie sprawy. Ale nie wszyscy mogą jechać na wczasy orbisowskie. Ponadto pewna liczba ludzi w Polsce nie posiada własnych samochodów, którymi można przywozić wiktuały z większego miasta w pobliżu. Gdy chodzi o pogodę — liczy się na szczęście. Pogody zmieniać jeszcze nie potrafimy. Osobiście wierzę jednak, że prędzej czy później potrafimy definitywnie przesunąć okres deszczów na październik i listopad. Żyjemy przecież w dobie sputników i pod tym względem myśl ludzka daleko wybiega w przyszłość. Widzę już „oczami duszy” — jak mawia poeta — dzień, w którym „Głos Wiel-

kopolski” drukuje na pierwszej stronie komunikat PAP-a: „prowadzone od kilku lat wysiłki dały rezultaty. Tegoroczny sierpień będzie bez deszczu, dzięki substancji XY rozpraszającej chmury. Należy dodać, że substancja ta została po raz pierwszy wyprodukowana w kraju, dzięki wytrwałej pracy naszych naukowców. Już pierwsze grupy turystów cieszą się pełnym słońcem od świtu do zmierzchu. Zaraz po śniadaniu, składającym się z zupy mlecznej oraz sera (jajek, marmolady, wędliny) olbrzymie rzesze wyruszają na plażę...”

Mówiąc poważnie: ktoś przecież projektował budowę nowych schronisk. Ktoś projektował ową kuchnię w Kamiennym Potoku. Ten ktoś o kamiennym sercu wiedział, że człowiek ma zwyczaj jeść. A jednak... Jakoś to będzie. Może wystarczy taka, jaka jest. Może...

Kierownictwo obozowiska PTTK w Kamiennym Potoku mówi, że może w przyszłym dniu, w którym „Głos Wiel-

(Dokończenie na str. 2)

„Homo sum, et nihil humani...”

Refleksje powakacyjne

O to znowu minęły jeszcze jedno wakacje. Młodzież wypoczęta, wzmocniona, odświeżona jakże licznymi w tym roku kontaktami z przyrodą, wraca do szkoły. Warto przy tej okazji pokusić się o przypomnienie do jakiej to szkoły młodzież nasza wraca i jaki tej szkole przyświeca ideał wychowawczy.

Takie przypomnienie jest o tyle na czasie, że niemal w tej materii nieporozumień, często spowodowanych działalnością kół, które by chętnie wykorzystwały szkołę i proces wychowania dla zaszczepienia młodzieży przekonania i ideałów, dalekich od potrzeb współczesnego życia.

Bywa, że pytają ludzie: więc zrezygnowaliśmy ze świeckości szkoły skoro przywróciliśmy w niej nauczanie religii? Nie, nie zrezygnowaliśmy. Wszystkie szkoły w Polsce są szkołami laickimi, szkołami o świeckim wychowaniu. Jeśli państwo zezwoliło na nauczanie w nich religii w formie nadobowiązkowej, nie należy tego rozumieć jako ustępstwa wobec duchowieństwa — jak niektórzy ten fakt interpretują — lecz jako ustępstwo wobec wierzących. Chodzi o ułatwienie zaspokojenia potrzeb wierzącej części społeczeństwa. Stwierdził to wyraźnie minister Biełkowski na I Krajowym Zjeździe Towarzystwa Szkoły Świeckiej w maju bież. roku.

W żadnym wypadku nie może z tego faktu wynikać działalność wykraczająca poza potrzeby wierzących ani stosowanie inkwizycyjnych metod w stosunku do tych, którzy ośmielią się nie wierzyć. Dążymy do stworzenia we wszystkich szkołach atmosfery, wza-

jemnej tolerancji, a tym samym przeciwstawiać się musimy zdecydowanie wszelkim przejawom fanatyzmu i niepożądania fanatycznych przekonań.

Dobrze będzie tu przypomnieć, że idea świeckości szkoły nie jest wymysłem socjalizmu, bo i tak prymitywnie się to niekiedy tłumaczy. Idea ta zrodziła się dawno i zapuściła głębokie korzenie. We Francji na przykład: walka o świecką szkołę toczyła się od Wielkiej Rewolucji przez cały wiek XIX, aż zakończyła się pomyślnie ustawą konstytucyjną z dnia 9 grudnia 1905 r. (o rozdziale Kościoła od Państwa i o świeckości nauczania). I takie tendencje są wspólne dla całego współczesnego świata.

Polska nie może się nie podporządkować temu, co stanowi o postępie ludzkości. Nie może sobie pozwolić na luksus narzućania ludzkości, drogą autorytetu lub przemocy, idei, niesprzających rozwojowi. Zbyt wielkie stają dziś przed szkołą zadania.

Świat dzisiejszy cechuje kolosalny postęp cywilizacji. Miłowe kroki czyni nauka i technika; przygotowanie ludzi do zawodu, do życia w ogóle jest niezwykle trudne. I będzie coraz trudniejsze. Jeśli obecnie spotykamy się z objawami wykoślenia młodzieży, braku idealizmu i wielkich dążeń, to właśnie mamy do czynienia z przykładami zagubienia się młodych we współczesnym świecie, niemożności znalezienia sobie w nim właściwego miejsca. Któż, jeśli nie szkoła ma te cele pokazać? Któż może lepiej zaszczepić młodym zrozumienie wartości życia tkwiących w konstruktywnym działaniu zmierzającym do dalszej przemiany świata na użytek człowieka?

(Ciąg dalszy na str. 2)

MOŻE, NASZE MOŻE...

(Dokończenie ze str. 1)

roku przystąpi się do budowy pawilonu restauracyjnego. Może...

Do niedawna kuchnię prowadziło PTTK. Obecnie — zakłady gastronomiczne. Ostatecznie restauracje sopockie (2 km od Kamiennego Potoku) są zaopatrzone o wiele lepiej niż dawniej. Liczono się, że może ta firma potrafi zapewnić lepsze zaopatrzenie. Może...

Powie ktoś: „uczepliłeś się tego Kamiennego Potoku”. A tak. Uczepliłem się. Bowiem Kamienny Potok jest zjawiskiem bardzo typowym. Jest poza tym największym naszym obozowiskiem PTTK. Przyjeżdżają tu wycieczki zagraniczne. Szczególnie wielu przybywa Węgrów i Czechów, którzy, jak wiadomo, są „bez dostępu do morza”. Podziwiają nasze panie, z zachwytem zbierają muszelki i kolorowe kamyczki, robią zdjęcia meduzom — ale na temat posiłków zachowują dyskretność, wielomówiące milczenie. Mimo że w Kamiennym Potoku otrzymują lepsze wyżywienie, niż jacyś tam Polacy, i mimo że rezerwuje się im stoliki i podaje w pierwszej kolejności. Milczenie jest złotem — ale w tym wypadku może nas kosztować dewizy. I znów powie ktoś, że rozsądnie byłoby najpierw (za złotówki) zapewnić im godziwy pobyt, by potem cieszyć się cennymi dewizami. Ale tradycja nie pozwala. Może wystarczy im piękno krajobrazu? Może, nasze może...

Próbował mi ktoś tłumaczyć to w sposób następujący: PTTK — to jest taki kopciuszek. Orbis zdiera skórę, więc ma. FWP trzyma się jako tako, bo związki zawodowe. A PTTK? Co to jest PTTK? Każda instytucja ma swoje ministerstwo, jest gdzieś popukać, można się poskarżyć, interweniować. PTTK jest tylko towarzystwem. Turyści w trampkach. Taki nie pójdzie do Grand Hotelu, na takim nie można zarobić. A skoro nie można zarobić (rentowność,



proszę obywateli!) więc po co się wysilać? Dla kogo?

Zaiste, sprawy pobytu nad morzem wyglądają dość dziwnie.

Wiele pisało się o nadaniu większej samodzielności miejscowości nadbałtyckim, o przywróceniu im rangi kurortów, używano szumnego określenia „eksperyment”. Jeżeli eksperyment ten ma polegać na postawieniu pewnych spraw na głowie zamiast na nogach — to słowo to brzmi raczej śmiesznie. Jeżeli natomiast ma ono oznaczać rozszerzenie bazy wypoczynkowej — to wydaje się, iż eksperyment ów zmierza w kierunku niepokojąco jednostronnym. W trosce — najzupełniej słusznej — o rentowność, zapomina się o turystyce w jak najszerzym tego słowa znaczeniu. Jeżeli ktoś chce mieszkać w Grandzie — niechaj płaci za tę przyjemność. Jeżeli ktoś może przeznaczyć na miesięczny pobyt nad morzem kilka tysięcy złotych — nie stawiajmy mu przeszkód w tym zbożnym celu. Ale oprócz kategorii ludzi, na których czeka Sopot jako kurort — istnieje w Polsce wielu,

wielu zwykłych śmiertelników. Właśnie tych z namiotami, tych w trampkach. Ludzie, chcący spędzić dwa tygodnie nad morzem za miesięczną pensję, nie upierają się bynajmniej przy Sopocie. Sęk w tym, że poza Sopotem zmiany na lepsze postępują bardzo ospale. Że właśnie PTTK — wielka nadzieja tych, dla których nie starczyło wczasów FWP — nie cieszy się szczególnym poparciem i pomocą eksperymentatorów i ich opiekunów, zapatrzonych w sopockie molo.

Cóż — na wszystko trzeba ponoć czasu i pieniędzy. Czas płynie sam — fundusze nie. Ale chyba PTTK może być też rentowne, jako że ludziska wałęsa nad morze drzwiami i oknami. Może warto pokusić się o taki eksperyment? Kto wie — może się o tym już myśli?

Może. Ale może — jak morze — jest bardzo szerokie, jak mawia redaktor naczelny „Kaktusa”...

Janusz BINIEK

Refleksje powakacyjne

(Dokończenie ze str. 1)

Czołowy teoretyk polskiej pedagogiki Bogdan Suchodolski tak pisze: „...rzeczą najważniejszą w wychowaniu współczesnym jest kształtowanie ludzi tak, by umieli żyć w warunkach nowoczesnej cywilizacji, aby potrafili podobać zadaniom, które im ona stawia, aby korzystali z możliwości kulturalnego rozwoju, których im dostarcza, aby wiedzieli ku czemu i jak dążyć, z jakich źródeł czerpać radość życia”.

Jak jednak całym sercem zaangażować się w pracę dla człowieka, jak osiągnąć przy tym jakąś satysfakcję i zadowolenie, jeśli nie będzie temu towarzyszyć założenie, że świat, w którym żyjemy jest jedynym terenem działania człowieka i przeżywania wszystkiego, do czego człowiek jest zdolny? Przecież tylko takie założenie może wyznaczyć dla ludzi całe człowieczeństwo, a jednocześnie od-

grodzić ich od mistycznych koncepcji życia opartych na zgoła innym założeniu.

Każda religijna postawa wobec życia wyraża się — filozoficznie — w przekonaniu, że człowiek jest bezradny w otaczającym go świecie, w którym nic nie może zmienić, o niczym decydować, za nie ponosić odpowiedzialności. Człowiek na kolanacli ze złożonymi pokornie rękami jest tej postawy najbardziej dobitnym wyrazem.

Wychowanie współczesne, jeśli chce reprezentować założenia humanizmu, musi się przeciwstawiać wszelkim mistycznym próbom degradowania cywilizacji. Musi uzmąsławiać człowieka, że wszystko, co jest mu dane do przeżycia, może dokonać się tylko na ziemi, wśród tego, co ludzkość stworzyła i stwarza. Taką postawą oznacza działanie, modyfikowanie, przekształcanie świata dla dobra człowieka. Nie przybierze jej ten, kto

traktuje ziemskie życie jako wędrówkę zmierzającą ku innym celom, jako teren przejściowy, a nie miejsce pełnego zaangażowania się.

Dlatego szkoła nasza musi pozostać świecka, dlatego dążyć musimy do pełnego jej zsewiecezenia. Ale już nie metodami administracyjnymi, jak to robiono przed kilku laty. Tamto działanie przyniosło w efekcie dwulicowość nie tylko młodzieży, ale i po części nauczycielstwa, nikłe natomiast zmiany w psychice. A przecież chodzi nie o efekty pozorne, lecz o nowe spojrzenie na świat.

Jednakże nie obejdzie się zapewne również bez — zgodnych z prawem — środków administracyjnych, wymierzonych oczywiście nie przeciw nadobowiązkowym lekcjom religii, lecz przeciw usiłowaniu siania wokół tej sprawy niepokoju, wytwarzania atmosfery zamieszania. Jest w naszym województwie do zanotowania sporo faktów świadczących o próbach wyjścia daleko poza granice zakreślone odpowiednimi zarządzeniami władz oświatowych.

Nikogo nie upoważniono np. do zawieszania w naszych świeckich szkołach emblematów religijnych. Tryb zajęć szkolnych nie przewiduje odmawiania modlitw przed i po nauce. A przecież próbuje się je wprowadzić, nadać im charakter uroczysty, obowiązujący wszystkich.

Zdarzają się wypadki — jak w pow. kaliskim — prześladowania nauczycieli, stojących na gruncie świeckości szkoły, wystosowywania petycji o ich odwołanie lub przeniesienie, wybijania szyb w mieszkaniach takich nauczycieli, używania dzieci do składania pod pisów na kłamliwych skargach. W pow. Konin stwierdzono wywieranie przez księży nacisku na niewierzących nauczycieli i kierowników szkół, by chodzili do kościoła. Zdarza się nawet, że ksiądz prześladowa księdza za to, iż jest zbyt... tolerancyjny.

Największe jednak zadanie spada na samych nauczycieli. Od nich przede wszystkim zależy, czy stosunki między katechetą a młodzieżą i gronem nauczycielskim zostaną ułożone właściwie, w sposób spokojny i taktowny, ale i konsekwentny. Oni — zgodnie ze swym społecznym posłannictwem są powołani do tego, by strzec zasady świeckości szkoły i realizacji jej ideału wychowawczego.

Ale może ktoś zapytać — jak ma realizować taki program nauczyciel wierzący, a takich jest przecież wielu? W odpowiedzi na taką wątpliwość wystarczy przypomnieć, że wizerunek nauczyciela są jego sprawą osobistą, jednakże zachowanie się nauczyciela jako pracownika państwowego jest sprawą państwa. Na tej bazie — choćby w oparciu o słynne, chrześcijańskie „co cesarskie — cesarzowi” — można zlikwidować ewentualne wewnętrzne konflikty.

Wiele trudności trzeba będzie przezwyciężyć i wiele zadań sobie trudu, by ukształtować człowieka na miarę potrzeb współczesnego życia. Przed żadną przeszkodą jednak nie wolno się cofnąć, żadnego wysiłku zaniedbać. Pragniemy bowiem, by ludzie byli w pełni przygotowani „do rozumnego wyboru drogi życia, do rozumnych decyzji, do uzasadnionego rozważania w każdej teraźniejszej sytuacji tego, co wyraża zasadniczy nurt rozwoju, i tego, co mu zaprzecza. Tylko w ten sposób decyzje będą słuszne, będą wolne od błędów ulegania temu, czemu ulegać nie należy, i od błędów walki z tym, z czym walczyć nie trzeba”.

Mieczysław SKĄPSKI

*) Bogdan Suchodolski: „Wychowanie a rozwój nowoczesnej cywilizacji”, Studia Filozoficzne nr 3 (6).

**) Tamże.

Józef Baranowski

A w teczках-skarby świata...

Wiewiórki przykucnęły na wiotkich gałązkach
I zaśmiewa się wróbel ciekawsza gromada,
Jak za łobuziakami wiatr w podsokłach płasza
I do pobliskiej szkoły parkiem odprowadza.

I już poszły w niepamięć lody i lizaki
I bieganiń po trawie na udręk stróża.
Wrzesień już. Pierwsze liście zwidnęły, niby ptakiem
Kotują, i przekwitła zapomniana róża:

I nagle w parku tylko wiatr i krople deszczu.
Na ścieżkach arcyważne po skakankach wzory,
Wśród kolorowych szkielek — a drzewa szeleszczące,
Przypominają, tydzień jesienne wieczory.

Aż dudni w korytarzach od szkolnej gromadki.
Od „ach” i „och” z klas pierwszych radosnych okrzyków,
A w szklanych wazonikach postrzępione kwiaty.
Potem już tylko szelest książek i zeszytów.

Kasztan, stary emeryt zagląda do okien
Jakby poszumem liści pragnął spłoszyć lekcję,
Wspominając ogniska nad leśnym potokiem
I rozśpiewane lipcem wędrówki harcerskie.

Lecz coraz to ciekawsze są stroniczki książek
I tak przyjemnie pachną świeżym, drobnym drukiem,
Gdy myśl w bastiony wiedzy jak świder się wdrąży
I zdobywa w mozołach okopy nauki.

Wczesnym rankiem wrzesniowym przez miasto wesołe,
A w teczках skarby świata z wysp zaczarowanych...
Niczym ten wazniak dumnie spieszysz do swej szkoły,
Przez deszcz szumiących liści i wiatr rozśpiewany.

Tylko żeby jeszcze o kawalerii...

Niziołek niechęcy utrzymał go w tym koszmarze.

— Mogę odejść, panie poruczniku? W batalionie zamurdziłem, kazałem czekać, aż się pana majora Nietaczki dobudzą. Służbę zdać muszę, pan porucznik Szurgot będzie się gniewać...

— Ha, ha, ha! — zaryczał Markiewicz. — Frajer jesteś, kapralu! Nie pogniewa się już na was pan porucznik Szurgot! A zresztą, gwizdać. I na pana kapitana, i na pana majora, gwizdać! — Tu z imio nami może coś pokręcił, swoje własne mu się wypsnęło: — trąba jesteś, Bolutek!

Niziołek patrzył nań przeładowany. Jeszcze chwilę Markiewicz rękami wymachiwał. Cebula dopiero go za ramię otóżnie trącił: panie poruczniku!

Obejrżeli się na Babice. Od lasu na ukos, w kierunku tego samego skrzyżowania podłużny obłok ni to dymu, ni to kurzu. Był to coś w pamięci Markiewicza, krzyknął: — Cebula, jak z tą skrzynią, no, co ją tak pilnowano? Gdzie ona?

— Skrzynia, panie poruczniku? Ta od pana kapitana? Jak drugi pluton nawiewał, zabrano ją przecie! Na furkę wpakowano i galopem! Nie mówili? To z pospiechu...

Jedno zostało Markiewiczowi: zapalki. Nie chciał się palić dobry, glansowany papier instrukcji, wolno czerniały czerwone kółeczka. Spłaszczony czołg niemiecki TI, z dwóch stron pochwycony zawijasami piomienia, uległ wrzescie, załamała się wół dyndająca lufa armatnia, pękła od wewnętrznych wieżyczek, gąsienice zwinęły się spokieli. Markiewicz obcasem jeszcze przydeptał, wgniół w suchą dard podwieluskiej między szeleszczące i kruche szczątki.

Ruszyli ni tak, ni owak, ścieżyną jakąś, miała im drogę do kolei skrócić o pół godziny. Broń zabrali, ile się dało, na bojów pełne plecaki.

Nie zahaczyli o wieś, mimo słów Cebuli bał się Markiewicz Maciejom różnym się napatoczył, ich spojrzeń bał się, ich pożegnał.

Począł się od ładunku, dziesiątką galopowała za nim. Dopiero wyruszenie z okopów jakby uświadomiło wszystkich o nieuchronności niemieckiego zalewu. Chykiem wyskakiwali, oglądali się — czy nie nadchodzi niemiecka piechota, która nie przeleci, nie rozdepcze, ale pozostanie. Szli wydłużonym krokiem znowu posłuszni.

Rozumiał ich. Sam przeżył dziwny wstrząs, kiedy wydusił z siebie rozkaz opuszczenia okopu. Jakby na nowo zaczął żyć, jakby znowu odczuł miętą smakowitość jabłek w cierpieniu sędzie, jakby wróciła mu świadomość zmęczenia, którego płaszczyzyna ścieżka przysporzy oddziałowi. Świat, który w ciągu owej pół godziny nie istniał wcale albo w krótkiej chwili po ataku był jakimś zwolnionym, przejaśnionym zbiorem kolorów, linii, płaszczyzn, może i pięknych, i wzruszających, ale wypranych z konkretnej życiowej przydatności — ten świat, jak tylko porzucili okop — wrócił do nich w całej swej — dajmy na to — wczorajszej spoistości. Więc i przecucie bliskiego głodu, i wstyd, i złość. I przede wszystkim strach, strach przed Niemcami, ich ogniem, ich atakiem, niewolą, raną, śmiercią.

A to wszystko na tle ogromnej ulgi, że uciekają, że rzucili tę przeklętą wydymę. Tam, przez te pół godziny — strachu nie czuł. Śmierć szła na nich falami co parę minut. Po tym, co się stało

JERZY PUTRAMENT

WRZESIEŃ

z Szurgotem, było dlań całkiem naturalne, że i oni nie przeżyją. Nie myślał o tym, po prostu wiedział. I świat zewnętrzny stracił dla niego jakikolwiek sens praktyczny. Strach przed śmiercią wrócił doń dopiero, kiedy śmierć już nie była pewna i nieuchronna, kiedy stała się ledwo możliwa. Strach przed nią, nieodłączna część świata, w którym żyjemy, wrócił razem z tym światem. Bo tamte pół godziny — to było inne życie, inny świat, inna planeta.

Teraz gdy półbiegiem wzięli na jakiś zaokrąglony rzymski pagóreczek, przebiegały mu po głowie takie niejasne odczucia. Radość, że żyją, że uciekają, że znowu uciekać się boi.

Pagóreczek, rzyśka, płachta już zaoranego gruntu. Przed nim dalsze, łagodne pola. Gdzieś z prawa kępka sosen. Gdzieś z przodu mały obłoczek kurzu. Tamtędy poszły czołgi. Abyś nie pomyślał czasem, że to wszystko ci się przysniło. Abyś nie pomyślał, zwiedziony tym zupełnym, absolutnym spokojem. Tę ciszą, deptaną tylko ich buciorami, ich sapaniem.

Przystanął, obejrzał się. Babice już stały się maleńkie, przykucnięte koło strumyczka, tu i ówdzie poznaczone wieżkami. Sady stąd były całkiem żółte i bure. Las za nimi ledwo wychylał się nad horyzontu. Wydemek, żółtych kreszek okopów ani śladu.

Hałas, wołano nań, odwrócił się do oddziału. Machali rękami: ktoś biegnie. Ścieżka z pagórka speliła na miedzę. Kilkaśmet metrów z przodu fi-

gurka w zgniozłonym żołnierskim stroju.

Nie widzieli Niemca, nie mogli powiedzieć, swój to czy obcy odcień zieleni. Dopiero po paru minutach zaczajonego czekania któryś dostrzegł. Niziołek. Był zdyszany, ale spokojny: wszystko w porządku, w batalionie kazano, żeby bez paniki proszę!

Zaklejona, pękata koperta była adresowana na Potajale. Złamał pieczęć. Krótkie pismo nakazywało „w razie zagrożenia przez siły pancerne npla otworzyć skrzynię znakowaną AX” i „postępować zgodnie z załączoną instrukcją”.

Jedno zdanko wykrzywiło mu twarz czymś w rodzaju niedobrego śmiechu: o dyscyplinarnej odpowiedzialności dowódcy, który otworzy skrzynię bez należitych podstaw. Chwył ciał nalezitych podstaw.

Były pięknie wydrukowane. Na okładce z pół tuzina ostrzeżeń: ściśle tajne, nie otwierać bez rozkazu, spalić w razie zagrożenia...

Chodziło o rusznice przeciwpancerne, o te same pępance, o których bełkotał po pijanemu Brejwo, „przebijające pancierz stalowy grubości 1,3 cm na odległość... oraz do 2 cm na odległość...”. Ładnie wyrysowane schematy ukazywały profil i czoło niemieckiego czołgu TI, tego właśnie pułdka zapatek, co rozdusiło Szurgota i z trzeciego plutonu, zahaczywszy o nich przez niewagę, zrobiło kupkę niemal dezertów. Czerwono wypunktowane kilka znaczący specjalnie wrażliwe miejsca tego czołgu. Potem szły wska-

zówki pielęgnacji rusznicy i drobnych napraw.

Słowem, wszystko tam było. Wszystko, żeby zwyciężyć blazane pudła, które ich roznioły. Albo żeby przynajmniej walczyć. Albo przynajmniej ginąć, ale tak, by śmierć własna i wroga coś kosztowała. Stali opodal, patrzyli na Markiewicza dziwić się jego złowrogim uśmiechom, okrzykom, potrząsaniom pięściami. Niziołek, domyślając się czegoś niedobrego, chciał już odejść, żołnierzy rozpytywać, gdy Markiewicz do niego:

— W batalionie, kapralu, powiadacie...

— Tak jest, panie poruczniku, pełny spokój.

— O której wyszliście z powrotem?

— Musi koło piętej, już było jasno...

— I po drodze... niceście nie widzieli?

— A i owszem, hałas był duży. Tylko że to na drodze, a ja ścieżyną. Myślę, że artylerię od Krzepic czy od Wielunia przesłuchali.

— A nie myśleliście, że to może Niemcy?

— A gdzie, panie poruczniku, strzelano by przecie. Cała nasza kompania na granicy, i dalej, szósta. Z cekaemami. To przecie nie byle co!

Tu przyszła grupka sekund, kiedy wydało się Markiewiczowi, że dziś to wczoraj. Że nie było tamtej pół godziny, że to nie zaspany kapral, ale Potajale mówi albo sam pan major Nietaczko. Jakby się poplątały, pomieszały dni w swojej nieubłaganej kolejności. Jakby, odprawa pułkowa.



Z cyklu: Ziemie Zachodnie — CHOJNA (woj. szczecińskie)

Rys. St. Mrowiński

WĘDRÓWKI PO STARYM POZNANIU

„By przez zgodne współzycie w szkole...”

Pierwsza myśl utworzenia szkoły realnej w Poznaniu powzięta została przez władze miejskie. Dnia 17 września 1838 Rada Miejska wyraziła zgodę na podjęcie starań o powołanie tej uczelni do życia. A więc 170 lat temu. Wprawdzie otwarto ją dopiero 17 października 1853 r., warto jednak przypomnieć niektóre fakty z tym związane. Ludzie żyjący z dnia na dzień, mru- czą o staroświeczyźnie; my jednak sądzimy, iż o rzetelnej ludzkiej działalności zawsze po- ra pogawędzić. Tym bardziej, że sprawa powołania do życia szkoły realnej w Poznaniu — to znowu jeden z od- cinków walki o postęp i pol- skość w tym regionie.

Najznakomitszymi rzecznika- mi tej sprawy byli Karol Li- belt i hr. Edward Raczyński. Ta właśnie współpraca konse- cjonistów ze stanowczym prze- ciwnikiem demokracji i rewolu- lucji jest bardzo interesująca. Nie ulega wątpliwości, iż w sprawie szkoły realnej między Libellem a Raczyńskim istnia- ło porozumienie.

Właśnie Libelta należy uwa- żać za pierwszego świadomego propagatora koncepcji szkoły realnej w Polsce. W swej roz- prawie „O szkole realnej”, wskazywał na to, że szkoła real- na winna dawać „ogólne wy- kształcenie stanowi średnie- mu”. Walczył o wyzwolenie pracy z rzemieślniczej rutyny, uczył iż do wyzwolenia jed- nostki i społeczeństwa, do ich uszlachetnienia i uszlache- tnienia pracy, dopomaga świa- dome stosowanie wyników nauki, jak fizyki, chemii, tech- nologii, rozumienie rozwoju procesów technicznych. Był zdecydowanym przeciwnikiem wąskiego utilitaryzmu peda- gogów niemieckich.

Raczyński stawiał podobne zagadnienie. W swym projek- cie statutu szkoły realnej pi- sze: „Szkoła realna w Pozna- niu zakłada się w celu kształ- cenia tej części młodzieży kra- jowej, która się poświęciła my- śli procederem przemysłowym i gospodarskim w życiu pry- watnym, a to w sposób od- powiedni postępowi wieku naszego i którą ile możliwości chcemy postawić na równi z wykształconą młodzieżą in- nych krajów”. A paragraf (14) projektu tego zaczyna zdani- em: „Językiem naukowym w szkole realnej w Poznaniu bę- dzie język polski, tym języ- kiem albowiem mówią 2/3 czę- ści mieszkańców wielkiego Księstwa. Celem zaś szkoły realnej w Poznaniu jest wznie- sienie ogólnego wykształcenia umysłowego mieszkańców, któ- rzy w Międzyrzeczu mają szkołę realną niemiecką”.

Nie piszemy jednak „pow- szecznej historii Poznania”, „Wiedza i Życie”.

jak to bystro zauważył pe- wien szaman, wnikliwy znaw- ca poznańskich. Ale wspo- minając serdecznie naszą szko- łę realną, która wiele nam da- ła, nie rozumiemy ciągle jesz- cze dlaczego wymazano jej imię? Inspiratorzy i fundato- rzy tej szkoły potrafili wobec władz pruskich obronić jej dwujęzyczność. Język polski miał w jej murach dłu- gie lata wcale poważne prerogatywy. Jeszcze w okre- sie międzywojennym, w bi- bliotece szkolnej przechowy- wano sporą partię polskich książek z tych czasów. Spra- wozdania roczne uczelni dru- kowane były do roku 1875 w języku polskim i niemieckim. Zresztą i Pan Rada Miejski Gotthilf Berger, składając w r. 1861 deklarację fundacji swej dla nowego budynku szkolnego przy ul. Strzeleckiej (nie był ładny, ale bardziej urodziwy od obecnej stodoły), pisał: „...aby do szkoły realnej dla miasta Poznania po wsze czasy uczniowie każdej religii i narodowości przyjmowani byli... i by przez zgodne współ- życie w szkole także i więz- współnocy na lata dojrzałe osiągnięta została”.

A już grono profesorskie ot- wartę w r. 1853 szkoły real- nej mówi za siebie i najżywo- ściej budzi wspomnienia. Każde nazwisko to żywa karta historii miasta i regionu: Dr Marce- li Mottu, dr Józef Szafarekiewicz, dr Antoni Malecki, Julian Za- bórski, Maksymilian Stud- niarski, dr Leopold Koehler, dr Stanisław Gruszczyński, Ludwik Rzepecki, dr Alfred Brandowski, Bolesław Jerzykiewicz, dr Franciszek Trawiński. Zespół był tak zdecydo- wanie polski, że nawet nie- mieckie monografie nie wy- mieniają innych nazwisk. Wśród pomocniczych sił nau- kowych i nauczycieli znowu Polacy. Wspominamy tylko: dr Kazimierz Szulca, Oskara Cal- liera, dr Maksymiliana Kantec- kiego i dr Romana Maya. Nb — Roman May mógł się po- chwalić pierwszym telefonem prywatnym w Poznaniu — „nr tel. 1”. Z początku żona tego postępowego technicznie oby- watela niepokoiła się bardzo jego gadaniem do pudełka na ścianie.

Trudno też, wspominając go, mazać Bergera, nie przypom- nieć przebiegającej sylwetki dr Józefa Kniata, jej długoletnie- go dyrektora. O sobie zwykle mawiał w trzeciej osobie: „Ten stary dyrektor”. Był oso- bliwie przytym krociowatym. Zapytany kiedyś, już po prze- ściu na emeryturę, jak się czuje, odpowiedział: „W mo- im wieku człowiek czuje się mniejwieć dojrzalszy”.

Któregoś dnia, jeszcze za je- go dyrektorskiej działalności, odwiedziłem go w gimnazjum. W przedpokoju minął mnie tę- gi pan o energicznych ruchach, czerwonej twarzy i masywnym karku. „To jeden z ojców. Świniobójca, jego chłopak zo- stał siedzieć, przyszedł się kłócić ze starym dyrektorem” — referował pogodny staru- szek. „A jak się rozmowa sko- czyła?” — zapytałem. „Ano, posadziłem go na krześle, po- głaskałem go po kolanach i powie- dzialem: Niech Pan tego swe- mu chłopkowi nie mówi, bo by się potem szkolniki ze sta- rego dyrektora śmiały. Ja też zostałem siedzieć w kwarcie i patrz pan, dyrektorem gim- nazji zostałem! I poszedł uspo- kójony” — zakończył relację dr Kniat.

Takim był on zawsze i ta- kim był jego język. Do tego bodaj czy nawet nie za dobre serce.

Dawno już odszedł, jak i wie- lu nauczycieli z tych lat za nim podążających lub i wcześniej- wybranych na Pola Elizejskie: dr Kazimierz Duczmal, ks. dr J. Kozłowski, dr Z. Arend- Chojński, dr Kalusza, dr Kra- jewski, Borzeszkowski, Kału- żyński... Dr Arend-Chojński był, jak mi mówiono, spikerem pod ziemią warszawskiego, zginął na Pawiaku.

Tyle z okazji nowego roku szkolnego. Starszym — ku wspomnieniu, uczniom — by wiedzieli jak niełatwo ojco- wie ich po polsku się uczyć mogli.

Wiktor TUTEJSZY

Nowości z kraju i ze świata

W ostatnich dniach po- wróciła do Rygi ekspedycja naukowa Muzeum Hi- storii Łotewskiej SRR, któ- ra przeprowadziła bardzo ciekawe badania archeolo- giczne na terenie pławiskie- go rejonu. Odkryto tu gro- bowiec... z pierwszego ty- siąclecia przed naszą erą.

Ekspedycja przeprowa- dziła również badania gro- bowca z VIII wieku n. e. Pochowani tu byli dawni Latgalowie. Znalezione spo- ro żelaznych przedmiotów domowego użytku, narzęd- zia pracy, jak sierpy i no- że, a także kilka mieczy. Wykopiska te dają bar- dzo cenny materiał dla zba- dania bytu ludzi zamieszku- jących brzozi Dawgawy przed 1200 laty.

500 tysięcy osób obserwo- wało podczas święta lotnic- twa radzieckiego nowy po- jazd powietrzny — „latają- cego stół”. Pojazd startuje i ląd- uje pionowo. Być może z takich platform, tyl- ko odpowiednio dużych, bę- dzie się wkrótce obserwo- wać mecze piłkarskie czy lekkoatletyczne, lub zawo- dy lotnicze.

Do leczenia chorób u- myślowych i psychoneuro- zów wprowadzono nową meto- dę. Zamiast wstrząsów (szok- ków) elektrycznych i che- micznych stosuje się środki anestetyczne, na przykład znany w chirurgii gaz roz- weselający używany między innymi do usypiania podczas ciężkich porodów). Gwałtowne wyłączenie świa- domości pacjenta-schizo- frenika powtarzane w pew- nych odstępach czasu — po- maga równie dobrze, a na- wet lepiej, niż dotychczasowa terapia wstrząsowa.

W Japonii, dla komuni- kacji między poszczególnymi wyspami (dotychczas łą- czeństwo utrzymują promy) zbudowany zostanie tunel betonowy o dwóch kondyg- nacjach. Na jednej — kur- sować będą samochody, na drugiej — pociągi elektrycz- ne. Ponieważ dno morskie na skutek działalności wul- kanów zmienia często konfigurację, tunel nie bę- dzie leżał na dnie. Na głą- bokości 20 metrów pod po- wierzchnią wody, a wysoko nad dnem — utrzymywany go będą liny przymocowane do betonowych belek. Kół- sowanie zredukują specjalne pływaki. Jak z tego widać, tunel będzie rodzajem pod- wodnego statku na uwięzi — nową rewelacją techniki.

Ekspedycje antarktyczne odkryły zapasy żywności tragicznie zmarłego przed 50 laty na Białym Konty- nencie badacza Scotta. Jak stwierdzili eksperci, żywno- ść ta jest po dziś dzień zupełnie świeża i zdatna do jedzenia. Na naszym zdję- ciu konserwy sprzed 50 lat.

Co to jest psychologia myślenia?

Newton twierdził, że aby dojść do wielkich rezul- tatów w myśleniu, trzeba nad każdym zagadnie- niem długo i intensywnie myśleć. Jest to niewąpli- wie pierwszy i najogólniejszy, aczkolwiek bynaj- mniej nie wystarczający warunek. Drugim warun- kiem, sformułowanym dobitnie już przez Kartezju- sza, jest kierowanie się w myśleniu odpowiednią metodą, przestrzeganie pewnych reguł myślenia. Re- guły takie formułuje logika i metodologia, wypra- cowa- ją je również na swój użytek poszczególne dziedziny wiedzy. Jednak metody te i wskazania nie wyczerpują problemu. Myśl nasza natrafia nie- kiedy na trudności, które zrozumieć i świadomie przezwyciężyć można dopiero w oparciu o znajo- mość wyników badań nad psychologią myślenia.

DLACZEGO PEWNE ŁATWE ZADANIA TAK TRUDNO ROZWIĄZAĆ?

Każdy z nas niejednokrot- nie rozwiązywał łamigłówki myślowe, takie, które począt- kowo nastrojały poważne trudności, lecz później, po zna- lezieniu lub dowiedzeniu się rozwiązania, wydawały się dziecinnie łatwe. Zawsze dzi- wiliśmy się wówczas, jak to się stało, że od razu nie przyszło nam do głowy właściwe roz- wiązanie. Ponieważ podobne wypadki zdarzają się nie ty- lko miłośnikom kajaków roz- rywek umysłowych, lecz wy- stępują również w poważnej pracy zawodowej, nie wyłąc- zając pracy konstruktorów, wynalazców i uczonych, war- to zastanowić się nad ich isto- tą oraz przyczynami.

SPRÓBUJCIĘ SAMI

Zadanie 1. Na kartce A (ry- sunek 1) widzimy dwa konie, a na kartce B dwóch jeźdźców. Wytnijcie obie kartki. Operu- jąc tymi kartkami, należy po- sadzić obu jeźdźców na ko- niach w normalnej pozycji. Kartek nie wolno zginać ani rozcinąć, nie można też wy- ciąć rysunków. Zadanie to na pierwszy rzut oka wydaje się nierozwiązywalne. W rzeczywisto- ści rozwiązanie jest bardzo proste (podajemy je, jak i roz- wiązanie następnych zadań, na ostatniej stronie).

Zadanie 2. Mamy 4 punkty ułożone w kwadrat. Punkty te należy połączyć za pomocą 3 linii prostych, nie odrywając ołówka od papieru i wracając do punktu wyjścia. Nie wolno wracać po już narysowanej linii. Można się łatwo przeko- nać, że dla większości osób 10 minut jest tu czasem zbyt kró- tkim na znalezienie rozwiązania.

Spróbujcie sami rozwiązać oba te zadania, dopiero potem powróćcie do artykułu!

SPRAWA JEST PROSTA

Na rysunku 2 widzimy 10 prób rozwiązania zadania dru- giego, wykonanych kolejno w ciągu 10 minut przez student- kę U. W.

Co uderza w tych rysunkach, które zapewne i u Was wygląda- łyby podobnie? Od razu rzuci- się w oczy kilkakrotne powtar- zanie się tych samych rysunków. Istnieje jednak również i głębsze podobieństwo, łączące wszystkie bez wyjątku rysunki. Polega ono na tym, że rysowane linie nigdy nie wychodzą poza granice kw- dratu, wyznaczonego przez 4 punk- ty wyjściowe, które należy połą- czyć. Nic więc dziwnego, że wy- siki w kierunku rozwiązania pro- blemu nie daly rezultatu, albo- wiem rozwiązanie to możliwe jest tylko w wypadku wyjścia poza pole kwadratu i opisania na 4 punktach trójkąta. Gdy osobom

bezszytnie męczącym się nad tym zadaniem, pokazać właściwe rozwiązanie, słyszy się od nich czasem, iż nie wiedzieli, że moż- na wyjść poza obręb kwadratu. Przyczyna opisanych zjawisk jest niewątpliwie przyzwyczajenie do łączenia punktów najkrótszą dro- gą i rozpoczęcia rysowania li- nii właśnie od punktu.

Każdy, kto próbował samo- dzielnie rozwiązać przedsta- wione wyżej zadania, łatwo zrozumie, że do rozwiązania nowego problemu niejednokrot- nie przystępujemy — zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy — z jakimś dodatkowym za- łożeniem lub z nawykowym, stereotypowym nastawieniem, w wyniku czego oberamy błęd- ny kierunek poszukiwań i nie- zwykłe utrudniamy sobie zna- leżenie właściwego rozwiąza- nia.

K. N.
Z. Pietrasiński

łożeniem lub z nawykowym, stereotypowym nastawieniem, w wyniku czego oberamy błęd- ny kierunek poszukiwań i nie- zwykłe utrudniamy sobie zna- leżenie właściwego rozwiąza- nia.

Mamy tu do czynienia z osobli- wym zjawiskiem ujemnego wpły- wu naszego poprzedniego doświad- czenia na aktualny przebieg pro- cesu myślenia. Rozwiązywanie no- wych problemów opiera się na do- bytych przez nas poprzednio do- świadczeniach. Doświadczenie to, mające postać wiadomości, umie- jętności, nawyków, przyzwyczaje- ń etc., stanowi nieodzowną prze- stankę skutecznego radzenia sobie z nowymi problemami. A więc np. każde nowe zadanie matematycz- ne rozwiązujemy, posługując się posiadanym doświadczeniem w tej dziedzinie. Zdarza się jednak, że przystępując do nowego zadania aktualizujemy i staramy się zasto- sować — nie zdając sobie z tego sprawy — te elementy naszego do- świadczenia, które nie nadają się do wykorzystania w danym wypad- ku lub nawet wręcz uniemożliwia- ją znalezienie właściwej drogi roz- wiązania. Tak np., gdy ktoś w se- rii zadań posługiwał się stale pew- nym wzorem lub schematem po- stępowania, będzie niejednokrot- nie usiłował zastosować ten sam schemat do kolejnego zadania, któ- re mimo pewnych zewnętrznych podobieństw z poprzednimi zadan- iami należy rozwiązać według innego wzoru.

CZY PSYCHOLOGIA MOŻE NAM POMÓC W ROZWIĄ- ZANIU PROBLEMÓW MYŚLOWYCH?

Psycholog amerykański N. R. F. Maier przeprowadził na- stępujący eksperyment. Dał on 384 studentom do rozwią- zania szereg zadań. Student ci zostali podzieleni na dwie grupy: kontrolną i eksperymental- ną. Członkowie każdej grupy otrzymali takie same zadania, z tą jedynie różnicą, że grupa eksperymentalna przed przy- stąpieniem do zadań wysłu- chiwała 20-minutowego wykła- du na temat psychologii roz- wiązywania problemów. Wy- kład ten przedstawiał ogólny

przebieg procesu rozwiązywa- nia. Zwracał on uwagę słucha- czy na to, że powstające w tym procesie trudności determino- wane są przez naszą dawniejszą styczność z podobnymi pro- blemami, w wyniku której po- wstają nawykowe kierunki po- szukiwań. Te nawykowe kie- runki narzucają się nam od- razu, jednak zezwyczaj nie prowadzą do rozwiązania pro- blemu. Nie każdą nasuwającą się nam trudność da się poka- nać. Wykład kończył się na- stępującymi wskazówkami, bę- dącymi jego podsumowaniem:

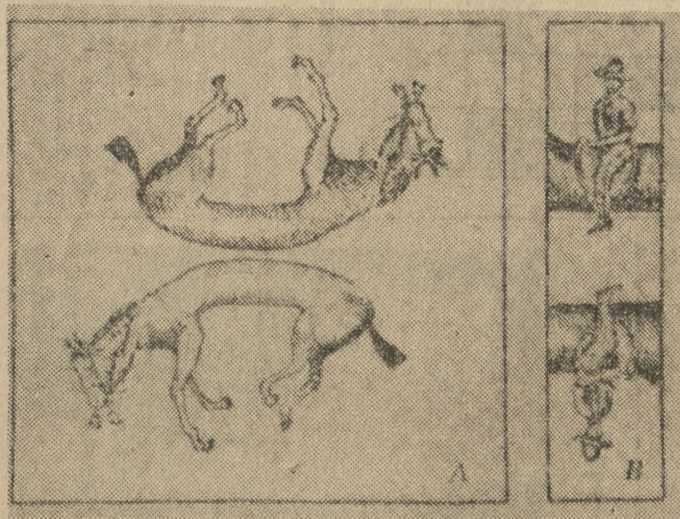
1. Należy określić trudność i starać się ją przezwyciężyć. Je- śli się to nie udaje — trzeba całkowicie zaniechać zajmowa- nia się tą trudnością, po prostu wy- bić ją sobie z głowy i poszukać innej możliwości.

2. Nie należy poddawać się na- wykowi i nie trzymać się jedno- go kierunku poszukiwań. Mieć umysł otwarty dla nowych zna- czeń.

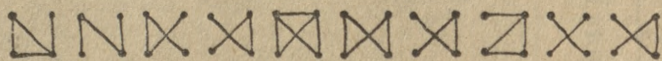
3. Sposób rozwiązania zjawia- się nagle. Nie można wymusić je- go pojawienia się. Mleć umysł ot- wartą dla nowych skojarzeń i nie tracić czasu na bezskuteczne próby.

Wyniki eksperymentu Maiera by- ły następujące. W grupie kontrol- nej pierwszy problem rozwiązano 49 proc. osób, drugi — 22,3 proc., trzeci — 47,8 proc. Rezultaty gru- py eksperymentalnej były w su- mie o 24,1 proc. lepsze. Za pomo- cą dodatkowego eksperymentu Maier wykazał, że o wyniku tym nie mógł zdecydować taki ewen- tualny czynnik, jak np. przypad- kowo większe zdolności umysło- we grupy eksperymentalnej. A więc zapoznanie się osób bada- nych z pewnymi prawidłowościa- mi psychologicznymi i wysłucha- nie opartych na nich wskazówek ogólnych zwiększyło owość ich wysiłków nad pokonaniem szere- gu trudności. Wyniki te niewąt- pliwie zachęcają do bliższego za- poznania się z osiągnięciami psy- chologii myślenia.

Fragmenty ciekawego artyku- łu, zamieszczonego w ostatnim, siódmym numerze miesięcznika „Wiedza i Życie”.



Rysunek 1. Wytnijcie część rysunku, oznaczoną literą B i spróbujcie ułożyć ją na części A tak, aby jeźdźcy siedzieli na koniach. Części B nie wolno rozcinąć ani zginać. Spój- rzcie też na zegarek — ile minut zajmie Wam rozwiązanie tego zadania.



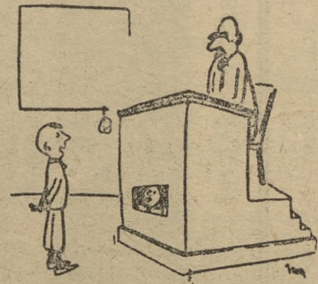
Rysunek 2 przedstawia próby rozwiązania następnego zadania, które również znajdziecie w artykule obok.

Na szlaku Pitagorasa

A więc — znowu do szkoły. Uczniowie przeglądają już nowe podręczniki. Gramatyka, algebra, geometria... A właściwie — to jak dawno już u nas w Polsce istnieją podręczniki matematyki, algebry, geometrii?

Daleko musielibyśmy sięgać pamięcią, aż do wieku XVI. Znalezilibyśmy wówczas pierwsze podręczniki matematyki, księdza Tomasza Kłosa: „Algorismus To jest nauka Liczby, Polską rzeczą wydana: przez księdza Tomasza Kłosa. Na trzy się części dzieli. Pierwsza będzie o osobach Liczby, Wtóra o Regule detri, Trzecia o rozmaitych rachunkach y o spółkach kupieckich”.

Jak widzimy, był to więc nie tylko podręcznik matematyki na użytek szkoły ogólnej, ale i coś w rodzaju podręcznika arytmetyki handlowej. Rok jego wydania — 1533. Kilkanaście lat później przychodzi mu z pomocą Bernarda Wojewodki „Algorithm, to jest nauka liczby po polsku na liniach teraz nowo z pilnością prze-

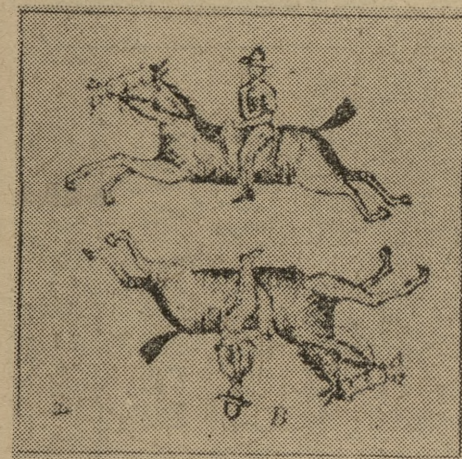


BEZ SŁÓW

W głąb puszczy w Kongo zachowały się w nieskażonej formie stare, tradycyjne tańce murzyńskie. Oto jak wygląda początek tańca obrzędowego z okazji przyjmowania kandydatów do grona „w tajemniczych”: herold na wysokich szczytach śpiewa pieśń o tradycji szczepu.

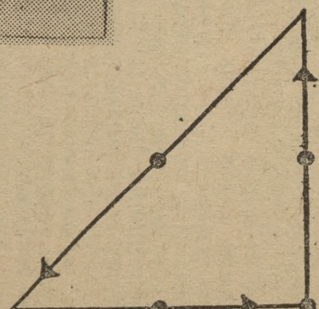
Rozwiązanie zadań

(najpierw przeczytaj artykuł na str. 31)



Tak oto wygląda rozwiązanie zadania „Kół i jeździec”. Rysunek A należało odwrócić o 90 stopni, i dopiero potem ułożyć na środek rys. B. Proste, prawda?

Aby trzema prostymi liniami połączyć cztery punkty, ułożone w kwadrat, trzeba wyjść poza powierzchnię tego kwadratu. Niestety — również tutaj trzeba się sporo natrudzić, aby wpaść na to nieskomplikowane rozwiązanie zadan-



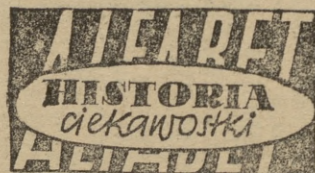
Niedługo na nasze ekrany wejdzie komedia pt. „Zadzwoncie do mojej żony”, produkcji czechosłowacko-polskiej. W rolach głównych ujrzymy B. Polomską (grała w I części „Eroiki”) oraz J. Beka (na zdjęciu).



Okres roku geofizycznego dostarczył filatelistom wiele okazji do skompletowania pięknego zbioru. Specjalne serie znaczków z tej okazji wydała — jak dotąd — poczta Kanady, Japonii, Norwegii, Antyli Holenderskich, NRD, Kolumbii oraz Belgii.

Poczta belgijska, oprócz znaczka, przeznaczyła do obiegu również okolicznościowy błądek, który reprodukuje. Warto przypomnieć, że do zbioru znaczków Roku Geofizycznego należą także, wydane przez zarządy poczt różnych państw — znaczki, poświęcone wypuszczeniu radzieckich sputników.

W najbliższych dniach należy się spodziewać polskich znaczków z okazji wyprawy na Spitsbergen. mgr L. K.



budynku. W roku 1739 nie ma już Paprycy. Jego młyn i dom stoi pusty. Tylko karczma prosperuje...

LUTYNIA — leży nad rzeką o

Ciekawe szczegóły pierwszych prób polskich inżynierów

Już kilka lat przed wojną mogliśmy mieć odrzutowce!

Julian Machlejda, były pastor, a także były dyrektor Gimnazjum im. Mikołaja Reja w Warszawie, był dyrektorem browaru, gdy poznał inż. Józefa Sachsa, inż. Jana Oderfelda i inż. Władysława Bernadzikiewicza.

— Panowie chcą, aby Polska miała najszybsze samoloty na świecie? I potrzebne są wam fundusze na badania? Ja mam pieniądze...

Był to rok 1931. W owych czasach samoloty osiągały rekordy szybkości w granicach 700 km na godzinę. Inż. Sachs twierdził, że tylko zastosowanie napędu reakcyjnego, zwanego obecnie odrzutowym, może przyczynić się do osiągnięcia większych prędkości. Przez wiele nocy dyskutowali na ten temat. Z fachowych pism wiedzieli, że badania w tej dziedzinie prowadzi Niemcy, Rosjanie, Anglicy, Amerykanie, Francuzi.

Dwaj młodzi inżynierowie zetknęli się w Warszawie z inż. Bernadzikiewiczem i Julianem Machlejdą. W małym warsztacie przy ul. Żelaznej, gdzie produkowano blaszaną galanterię, powstało laboratorium silników odrzutowych.

Szczupłość funduszy zmusiła nas do ryzykownej gry, do budowy dużego modelu — pisał później inż. Oderfeld. Było bowiem jasne, że na dłuższą metę trzeba znaczących sum, których dostawcą mogło być tylko wojsko, a wojsko trzeba zaimponować. Porwali się więc na budowę wielkiego modelu demonstracyjnego.

Pierwszy silnik charakteryzowały następujące dane: pojemność komory spalania — 5 litrów, ilość cykli — 1.000 na minutę. Silnik był pomyślany, jako turbina spalinowa, w której spalanie odbywało się przy stałej objętości. Warto dodać, że nowoczesne silniki strumieniowe — takimi są tak że silniki turbinowe — pracują przy stałym ciśnieniu. Było to „novum” w tej dziedzinie konstrukcji.

Po 5 miesiącach silnik był gotów. Po uruchomieniu, ryk rozdarł okolicę warsztatu, a zewsząd zbiegli się ludzie. Płomień, jaki wydobywał się z dyszy, przerażał ludzi. Niestety — ciąg był bardzo mały.

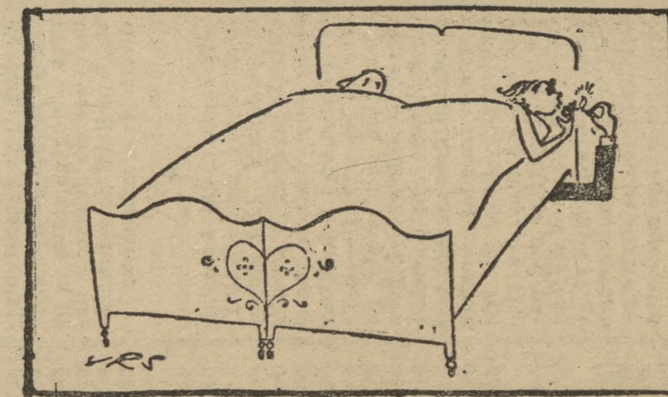
Konstruktorzy przystąpili do zbudowania małego silnika — o sile ciągu 1 kg, który otrzymał nazwę „Strumienicy”. Był to silnik pulsacyjny, benzynowy. Doświadczania z tym silnikiem były prowadzone w Polskich Zakładach Inżynierskich w „Ursusie”.

Na dalsze badania potrzeba było jeszcze około 300 tys. zł. Komisja wojskowa uznała, że szkoda takiej sumy na kontynuowanie prac, bowiem „Polska nie potrzebuje takich szybkości”.

Inż. Bernadzikiewicz zmarł po wojnie, w roku 1946. Inż. Sachs — ranny we wrześniu w obronie Warszawy, schwytany przy próbie ucieczki na Węgry, został zesłany do Oświęcimia, gdzie zginął w 1941 r. Inż. Oderfeld jest obecnie profesorem Politechniki Warszawskiej, kieruje katedrą silników lotniczych.

Gdyby nie tępota ówczesnych władz, Polska już w roku 1933—36 miałaby samoloty odrzutowe. Bo „Strumienica” była pierwszym wzorem, na którym oparte są współczesne silniki odrzutowe.

Jerzy HALICKI



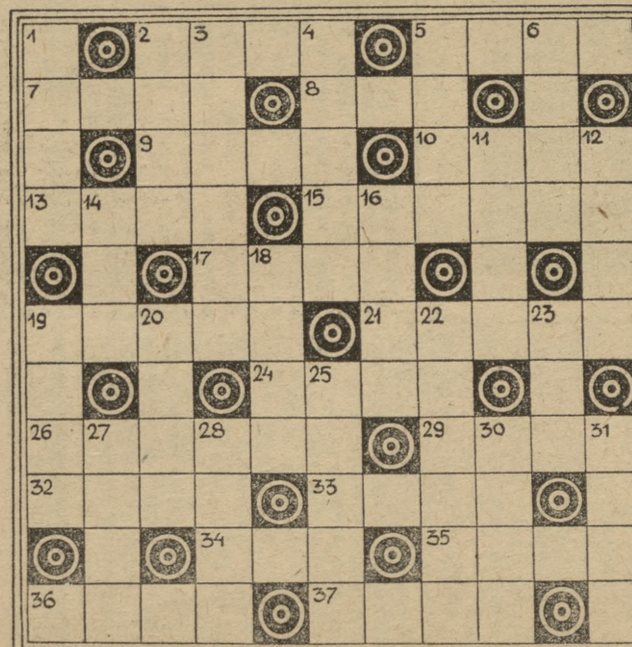
Bez słów

KRZYŻÓWKA

w ukł. L. Rudkowskiego

Pozłomo: 2 — święty byk Egipcjan, 5 — symbol mądrości, 7 — zabieg chirurgiczny, 8 — jeden z najmniej przyjemnych zawodów, 9 — ciężka praca, 10 — biblijny ogród rajski, 13 — słodki przysmak, 15 — rodzaj literacki, 17 — mitologiczny lotnik, 19 — popularna dolegliwość, na którą ponoć nie ma lekarstwa, 21 — imię słynnej autorki powieści kryminalnych, 24 — wulkan na Sycylii, 26 — biała kuropatwa, ptak z rodziny głuszców, 29 — zwierzę, które pluje, 32 — pożywka do hodowli drobnoustrojów, 33 — instrument muzyczny, 34 — mitologiczny władca wiatrów, 35 — tylna część okrętu, 36 — oddział wojskowy, 37 — kamień ozdobny. Pionowo: 1 — przystań, 2 — bożek miłości, 3 — część rozgrywki brydżowej, 4 — kolorowa część radioaparatu, 5 — kierownica, 6 — okres, 11 — jednostka siły, 12 — korab, 14 — owad, 16 — kraj na Bliskim Wschodzie, 18 — „...nie woda”, 19 — 60 sztuk, 20 — kolejność, kolejka, 22 — dawny okręt z wiosłami, 23 — katedra, 25 — płyta, 27 — dawna stolica Wielkiego Mogola, 28 — szączek, 30 — w brydżu — kolor przelicytowany, 31 — uderzenie.

Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 4. 9.



W pociągu

Dwóch ulanów pod lekkim gazem jedzie pociągiem. W pewnej chwili jeden z nich pyta:

— Która godzina?

Drugi wyciąga pudełko zapalek i patrząc na nie odpowiada:

Oho, jest już wtorek.

— W takim razie muszę wysiadać, bowiem zbliża się koniec roku...

(Roda—Roda)



Mały Murzynek Peter Burke (13 lat) zdobywa sobie coraz większą popularność telewizorów amerykańskich. Znamy twierdzą, że jest dzieckiem niezwykle uzdolnionym muzycznie.



Pijcie mleko tylko przegotowane!

Maszyny posłuszne głosowi

Dziennik „The Financial News” donosi, że w Międzynarodowym Towarzystwie Maszyn Biurowych czynione są próby skonstruowania układu elektronowego, umożliwiającego sterowanie maszynami przez dawanie im ustnych poleceń.

W aparaturze takiej stosuje się dwa zespoły, zwane aparatem redagującym i aparatem szyfrującym, które przekształcają elementy mowy ludzkiej w taki sposób,

że mogą być one analizowane w elektronicznej maszynie matematycznej.

Przedmiotem obecnych badań jest wykrywanie własności dźwięków mowy, które pozwoliłyby na odróżnianie poszczególnych elementów słów wymawianych.

Aparat redagujący wylawia elementy mowy i przekształca je na impulsy, rejestrowane na taśmie magnetofonowej. Aparat szyfrujący odczytuje zapisanych impulsów i przekształca je na odpowiednie liczby, wprowadzane do maszyny matematycznej lub też elektronicznej maszyny sterującej.